

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

Nr. 3. Kraków, dnia 20. stycznia. 1901.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Niedawno temu, nadział p. Rabski na ostry koniec swego pióra galicyjskie pisemka paszkwilowe, piętnując w felietonie »Kuryera Warszawskiego« ohydny targ skandalem i potwarzą, który bywa praktykowany w dwóch czy trzech piśmidłach, stanowiących zakałę naszej prasy. U nas, w myśl dobrej zresztą zasady przemilczania, nie mówi się w prasie ani słówka o tych pasożytach publicystyki, lecz metoda »des Todtschweigens« zaczyna powoli przechodzić w karygodną tolerancyę, zwłaszcza gdy idzie nie o same płody paszkwilowej muzy, lecz o ich autorów. Wiemy dobrze, iż pan X. czy Y., człowiek skądinąd bardzo zdolny, używa tego lub owego pisemka za zlew dla swej żółci lub nienawiści osobistej, wiemy iż szarpie tam dobrą sławę innych ludzi i przedstawia w ohydnem świetle ich stosunki domowe, a jednak nie mamy dość odwagi, by odmówić mu podania ręki... Przyczyny takiego postępowania są w każdym wypadku odmienne, lecz niema między niemi i być nie może żadnej, któraby mogła je usprawiedliwić. Podobne »laisser faire, laisser aller« świadczy jedynie o braku odwagi cywilnej, przymiotu, który w Galicyi zaczyna niestety nabierać cech białego kruka...

Mówię dziś o tem dlatego, że nieliczna dotąd paszkwilowa kohorta otrzymała nowy sukurs w jednem z krakowskich pism codziennych, a do szeregu otwartych paszkwilistów przeszedł młody »literat«, zasilający dotąd płodami swej histerycznej muzy jeden z najstarszych i najpoważniejszych w kraju dzienników. Prawdę mówiąc, o żadnem »przejściu« nie może być właściwie mowy, gdyż ów pan jest już pamflecistą z natury swego talenciku i w dotychczasowych swoich »utworach« z trudem tylko usiłował maskować pociąg do wycieczek osobistych w lichym guście i pijanym stylu, za pomocą wyższej blagi i nibyto literackich wiadomości, pochwytanych na prędce z leksykonu lub dawnych roczników »Freie Bühne«; sprzykrzyło mu się poprostu udawać przyzwoitego człowieka i porozpinał się wygodnie, dając upust swej nienawiści ku wszystkim, którzy śmieli przyjść na świat z większą dozą mózgu w czaszce, niż on sam.

Są to echa anarchistycznych skłonności, które fermentując ongi w czaszce młodego geniuszka, wypchnęły go aż za granicę kraju i państwa... Przymusowy wojaż nie na wiele się zresztą przydał; stare lecz dobre przysłowie o owsie, ryżu i Paryżu sprawdziło się raz jeszcze w całej swej rozciągłości. Paru dekadenckich krawatek i pewnej liczby frazesów, połapanych przy Pschorr — lub Spatenbräu nie można chyba uważać za jakiś dorobek umysłowy...

Z państwa Mikada.



Bronzowa statua Buddy zwana „Daibutfu“, w Kamahurze koło Yokohamy.

Od czegóż jednak spryt i paszkwilowe zdolności, od czego wreszcie pisma, żyjące tylko z kłamstw i potwarzy? Dzielny »literat« chwycił za pióro, stanął na palcach i — zaczęła się krucyata miernoty przeciw nieprzyjaciołom głupstwa, tragikomiczne steeple-chase, z przeszkodami w postaci zdrowego sensu i gramatyki. Podnietą w tej pracy »literackiej« jest młodemu estetykowi oprócz koniaku, słuszne zresztą przeświadczenie, że nikt nie będzie odeń żądał zdania rachunku z równie niskich jak niesmacznych napaści; radykalny i wkraczający w kolizyę ze... zwyczajami postępek aktora, który obrażony głupią korespodencyą do obcego pisma, żąda odwołania jej pod grozą... kijów, nie może być precedensem dla innych ludzi, mimo iż w skutkach swoich przeszedł wszelkie oczekiwania.

Fakt pojawienia się nowego pamfletu nie byłby zresztą wart, aby nim się zajmować gdyby nie pismo o które idzie i osoba piszącego.

Pismem jest tutejszy organ partyi socyalno-demokratycznej, piszącego zaś, należy, wedle zdania ludzi dobrze poinformowanych, szukać między felietonistami... »Czasu«! Wten sposób »Naprzód« zaprowadzając u siebie *sui generis* »dział literacki« posługuje się »estetykami« pobierającym i za swoje kompilacye grosik stańczykowski, a »literat« udający w »Czasie« znawcę literatur obcych, nie pogardza halerzami z »funduszu prasowego« partyi socyalno-demokratycznej. O takiej »koncentracyi« pewnie nie śniło się nawet księdzu Stojałowskiemu!

Lwowskie bagienko zaczyna znowu rozszerzać do koła przyjemną woń skandalu. Komitet dla sprowadzenia zwłok Chopina do kraju, rozesłał do pism galicyjskich odezwę, z której wcale niedwuznacznie wynika, iż lwowskie »Koło literacko-artystyczne«, »nie jest w możności« zwrócić mu pewnej, dość poważnej sumy, zebranej na pomnik Chopina, a złożonej w kasie tej instytucyi.

Owa »niemożność« oddania ma swoje źródło w tem, iż książeczka, na którą złożono ów parotysięczny fundusz, znajduje się w pewnym lwowskim banku, umieszczona tam przez jednego z licznych, niestety, lwowskich samobójców, na pokrycie malwersacyi... Samobójca był dyrektorem tego banku, a zarazem członkiem wydziału »Koła«

Niechże mi teraz, kto wytłomaczy: 1-o postępowanie lwowskiego »Koła literacko-artystycznego« które mimo podniesienia tej kwestyi przez poważną prasę, ani myśli odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty, nie mówiąc już nawet o oddaniu pieniędzy. 2-o Postępowanie instytucyi bankowej, która dobrze wiedząc o tem, iż suma zatrzymana przez nią na rachunek zmalwersowanej kwoty, pochodzi również z defraudacyi i to z defraudacyi publicznego, składkowego grosza, chowa kradzione pieniądze z najzimniejszą krwią do swej ogniotrwałej kasy?

Za wytłomaczenie i usprawiedliwienie powyższego procederu, przeznaczam jako nagrodę komplet »Słowa Polskiego« zawierający sprawozdania z procesu gal. Kasy oszczędności we Lwowie.

Niedawno temu smutna wiadomość rozległa się po całej prasie europejskiej, budząc, jak się wyrazili reporterzy warszawscy, »bolesne echo w sercu każdego Polaka«. Rozpisywały się o niej szeroko pisma wszystkich narodowości, prym zaś w zamieszczaniu różnych dementi, sprostowań »informacyi autentycznych« wiadomości z »dobrze« i »najlepiej« powiadomionych kół, trzymały naturalnie gazety warszawskie. Szło o rzecz nie małej wagi dla naszego narodu, o to: czy Padewski umarł, czy też zażywa wczasu »w pałacu swoim, na bogactw swoich łonie«?

Wszystkie żądne sensacyi dusze drżały na kształt liści, tylko ludziom obznajomionym z podobnymi nieszczęściami nie schodził z warg sardoniczny uśmiech. Wiedzieli oni dobrze iż Sara Bernhardt została w Ameryce jnż trzy razy porwaną przez Indyan, przypominali sobie katastrofy kolejowe, których ofiarą padał tylokrotnie Mierzwiński, a już na myśl o tem, że mistrz Barnum co parę tygodni konał na szpaltach pism całego świata, poto jedynie, aby na drugi dzień powstać do dalszego pełnego chwały i blagi żywota, serca ich uspokajały się doszczętnie.

Wkrótce też, po różnych domysłach, przypuszczeniach i sprostowaniach sytuacya wyklarowała się w jak najlepszy sposób; wszystkie gazety uśmiercające »znakomitego kompozytora« zamieściły jednobrzmiący komunikat iż Paderewski bawi w Szwajcaryi, ze skromnym dodatkiem o operze, którą »mistrz« właśnie ukończył pisać...

Niedość na tem. Gdy już w społeczeństwie utwierdziło się przekonanie, że »mistrz« nietylko żyje, lecz nawet pisze operę, padł nareszcie główny strzał reklamowej bateryi: warszawskie »Słowo« zamieściło obszerny artykuł, skwapliwie powtórzony przez inne pisma, w którym jakiś hrabia włoski, naturalnie »znawca sztuki« i jeszcze naturalniej, adorator Paderewskiego, z najwyższem uwielbieniem wyraża się o »mistrzu«, jego willi, stylowych meblach, fumoirze i bilardzie, nie pomijając też — opery.

Ta ostatnia jest, rzecz prosta, arcydziełem, zwłaszcza że libretto do niej napisał Alfred Nossig, wedle słów reklamy »jednocześnie: poeta, filozof, powieściopisarz, rzeźbiarz i rytownik«: bliżej poinformowani wiedzą nadto iż p. Nossig, prastarym obyczajem swej rasy piastuje przy »mistrzu« urząd faktora, pardon, sekretarza... Niedyskretny hrabia zdradza nam już teraz różne piękności tekstu, w którym wszechstronny librecista »zestawił walkę dwóch ras: słowiańskiej i cygańskiej«(!) wzbogacając tym sposobem historyę o nowe, całkiem dotąd nieznane zapasy dwóch narodowości. Nie będziemy zajmowali czytelników opisywaniem nonsensów, jakie panu Nossigowi spodobało się nagromadzić w trzech aktach swego »arcydzieła«; dla ocenienia wartości nie opery wprawdzie, lecz rodzaju reklamy wystarczy przytoczyć frazesy o tańcach »do których stara matka i Garbus komicznie się przyłączają« o żonie, co »karmi pieszczotami męża«, o »cudownym filtrze« (napój miłosny!!) o duecie »przelewającym się (!) od uczucia« i o melodyi, »w której (?) cygan poznaje swego pobratymca«. Całość jest niesłychaną ramotą i pan Nossig w chwili pisania jej musiał być chyba... rzeźbiarzem.

Co się tyczy muzyki, to dotychczasowa działalność twórcza Paderewskiego nie uprawnia do stawiania jego operze świetnych horoskopów. Znakomity wirtuoz, jest kompozytorem mniej niż średniej miary. Wierzymy bardzo iż, jak się wyraża ów hrabia, Paderewski ma »gorączkę kompozycyi«, lecz gorączka to jeszcze nie talent. Wspomniana reklama mówi też o gorącem zainteresowaniu się Schucha, kapelmistrza opery drezdeńskiej operą Paderewskiego. Sfery muzykalne wiedzą również coś o tem. Już parę lat temu przegrywał »mistrz« swoje dzieło wyżej wspomnianemu kapelmistrzowi, a grał, rzecz naturalna, przepysznie, tak, jak na całym świecie jeden tylko Paderewski grać potrafi. Schuch słuchał z wielkiem zajęciem, a pytany nakoniec przez autora: »Wa glauben Sie? Wird das gefallen?« odpowiedział po krótkim namyśle: »Gewiss, wenn Sie es spielen werden!«

Trudno się zatem dziwić, iż szpaltowe reklamy wynoszące już z góry pod niebiosa »arcydzieło mistrza« muszą w kołach fachowych obudzić tylko nieufność. »Gdzie dużo przygotowań, tam nic z dyalogu« powiedział Krasicki. Święta to prawda i nieraz już można ją było stwierdzić na konkretnych przypadkach. Pojawianie się arcydzieł naszej muzyki nie było przygotowywane ani śmiercią ich twórców ani pojedynkami. Moniuszko, Żeleński i Noskowski, pisząc swoje genialne utwory, nie ogłaszali żadnych interwiewów z hrabiami di Malocchio lub Monte Fiascone, gdyż dziełom ich nie potrzeba było płatnej reklamy; potęga talentu i żar szczerego natchnienia, oto jedyny wiatyk udzielony »Halkom« »Goplanom« »Jankom« i »Liviom« przez autorów na drogę wiecznego żywota. Do napisania takich arcydzieł nie potrzeba sekretarzy, stylowych mebli i will w Szwajcaryi: wystarczy mieć dach nad głową i iskrę Bożą w duszy. Lecz o tę podobnoś najtrudniej....

Pertinax.

„PSUBRATY“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy).

Spitzbart zamilkł na chwilę. Oglądał paznokcie z miną znudzoną, czekając na odpowiedź księżnej. Nie doczekawszy się, rzekł:

— Tak, jestem jej niewolnikiem... Dlatego, jak sądzę, w interesie pani leży, pozostawać z nią w zupełnem porozumieniu...

— Wspomniałeś pan o procesie Müllera i o niebezpieczeństwie, które mi grozi... Ze słów tej pani widzę, że nie masz pan przed nią tajemnic... Słucham więc pana.

— Wbrew naszym przewidywaniom, Müller został w dniu wczorajszym uwolniony. Nawet do procesu nie przyszło. Jakieś wpływy dyplomatyczne były w grze. Najniespodziewaniej kazano sędziemu uczynić wniosek o zaniechanie śledztwa. Müller już w tej chwili jest zapewne znowu w Berlinie.

Księżna Czarotyńska wzruszyła ramionami.

— Tem lepiej. Jestto najlepsze wyjście z tego zawikłania, które stworzyła pańska przesadna przebiegłość. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Przeciwnie, sądzę, że się znacznie zmniejszyło.

— Pani stanowczo się mylisz. Müller jest silnie przekonany, że aresztowanie swoje zawdzięcza tylko pani. Zbyt bliska przyjaźń łączy go ze mną, aby mógł wierzyć, że denuncyacya wyszła z tej strony, z której wyszła.

— Postaramy się o wyprowadzenie go z błędu...

— O nie, pani tego nie uczynisz... Zresztą, nie uwierzyłby pani. Byłem tyle ostrożny, że postarałem się o to, aby wiedział, iż denuncyantką była kobieta. Masz pani w nim nieubłaganego wroga. Przymierze ze mną jest pani potrzebniejsze dziś, niż kiedykolwiek...

— Zdaje mi się, że uczyniłam już zbyt dużo ofiar, aby to przymierze utrzymać...

— Zbyt dużo? Widzę, że pani lekceważysz niebezpieczeństwo, które ci grozi! Co Müller zrobi, uie wiem. Zapewne dowiaduje się teraz, gdzie pani jesteś i pod jakim nazwiskiem się ukrywasz. Przewidując to, na pierwszą wiadomość o jego uwolnieniu, napisałem do niego list z powinszowaniem i z ofiarowaniem moich usług. Co więcej, wyraziłem nawet wprost domysł, że denuncyatorką torką byłaś pani i przedstawiłem mu konieczność uczynienia pani nieszkodliwą, po poprzedniem odebraniu od pani jej pieniędzy za pomocą odpowiedniego nacisku. Dodałem nadto, że jestem na pani tropie i że, o ile mi się zdaje, nosisz pani dziś arystokratyczne polskie nazwisko... W ten sposób masz pani do wyboru: albo wraz z zemną wyprowadzić w pole Müllera, który we wszystkiem zda się na mnie, albo rozpocząć ze mną wojnę i popchnąć mnie do porozumienia z Müllerem.

Baronówna Windstein, która oglądała albumy z fotografjami, mało zwracając uwagi na rozmowę Spitzbarta z Czarotyńską — nagle zawołała:

— Ach, słuchaj moja droga, mam dla ciebie ukłony. Pisał do mnie z Paryża Opowski. Znasz go? Ależ tak, opowiadał mi, że starał się o twoją rękę! Dowiedziawszy się od Adolfa, że wyszłaś za księcia Czarotyńskiego, napisałam mu o tem natychmiast. Pisze, że zadziwił się i ucieszył ogromnie, i że natychmiast przyjedzie...

Adolf Spitzbart uśmiechnął się. Poprawiając fijołki, które miał w butonierce smokinga, rzekł:

— Jest to czwarty człowiek, który zna pani tajemnicę. Nie wiem, czy pani wiadomo, że nazajutrz po pani ucieczce z Wiednia, Opowskiego przytrzymano i ściągnięto z niego protokół; przy tej sposobności objaśniono go o przykrościach jakie miał Finländer i z powodu których wysłano za panią listy gończe. Trzeba będzie z nim coś zrobić, aby nam nieprzeszkadzał..

Czarotyńska założyła ręce na piersiach, utkwiła głębokie spojrzenie w Spitzbarcie i rzekła zwolna:

— Chciałabym wiedzieć, do czego pan właściwie dążysz i za kogo mnie bierzesz? Chciałabym wiedzieć, czy pan jesteś zwyczajnym rzezimieszkiem, a ta pani, która z panem tu przyszła, zwyczajną ladacznicą, czy też w was jest jakiekolwiek głębsze uczucie? Chciałabym wiedzieć wreszcie, czy pan jesteś żydem tylko z pochodzenia, czy też łączy pana ze współbraćmi wspolność dążeń i celów?

Spitzbart otworzył szeroko oczy, chciał coś przemówić, ale urwał. Sali Windstern podniosła głowę, nadsłuchując. Czarotyńska mówiła dalej:

— Postępujesz pan ze mną tak, jak żydowi wobec żydówki postępować nie wolno! Jak pająk. oplątałeś mnie pan swoją siecią i igrasz ze swoją ofiarą. Chodzi ci o korzyści materyalne? Rozumiem — każdy człowiek chce mieć pieniądze. Ale też ja ci tych pieniędzy nie żałuję! Tobie nie dosyć na tem! Ty mnie chcesz zgnębić i zadławić! A czy ty wiesz, co ty robisz? A czy ty wiesz, że gubiąc mnie, nie mnie gubisz, ale nasz wspólny żydowski interes?

Spitzbart uśmiechnął się z niedowierzeniem.

— Mnie się zdaje, że pani o wszystkiem pamięta, tylko nie o żydowskim wspólnym interesie.

Sali, której na twarz wystąpiły silne rumieńce, zawołała krzykliwie:

— Adolf! Tylko się ty nie daj brać na kawał! Ona nas chce otumanić! Mnie już nieraz tym wspólnym żydowskim interesem próbowano zawrócić w głowie! Przecież chciano, abym przez ten „interes“ żyła z obrzydliwym żydem i była taką jak on nędzarką!

Spitzbart zwrócił się niecierpliwie do Sali,

— Cicho bądź! Niech się pani Finländerowa tłomaczy! Niech nam powie, o jakim ona żydowskim interesie myśli. Ja jestem dobry żyd i właśnie dlatego, że nim jestem, ja pani nienawidzę! Stary żyd, przywiązany do naszego ludu, całe życie zbierał pieniądze i obmyślał sposoby przyjścia temu ludowi z najskuteczniejszą pomocą na to, abyś pani oddała te pieniądze Polakom, abyś pani podnosiła w tym kraju przemysł! On miał instynkt, który go przed panią ostrzegł i dlatego sprzągł panią razem z Prusakiem, wiedząc, że on nie pozwoliłby pani nigdy rzucać milionów na korzyść tego głupiego społeczeństwa, którego przeznaczeniem jest nam służyć! Pani jednak umiałaś się go pozbyć, bo ci był niedogodnym, zatkałaś mu usta pół milionem i w objęciach Polaka uciekłaś do Ameryki! Testament starego Simchy Bukszpana pewnie spaliłaś jako nieużyteczny szpargał!

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Dokończenie).

I księżyc, i więzienie, gwoździe w płocie, i płomień co błyszczał gdzieś z kopalni dalekich, wydały mu się straszne. W tem usłyszał za sobą kroki. Obejrzał się i ujrzał człowieka z błyszczącemi gwiazdami i orderami na piersiach, który uśmiechał się i znacząco mrugał okiem. I to wydało mu się w tej chwili strasznem.

Doktór zaczął upewniać się, że ani w świetle księżyca, ani w sali obłąkanych nie ma nic osobliwego, że psychologicznie zdrowi ludzie noszą także ordery i że każdy z nich z czasem umrze i zamieni się w glinę; ale mimo to jakieś przerażenie go ogarnęło, złapał się rękoma za kratę okienną i całą siłą potrząsnął nią, ale mocne żelazo nie drgnęło.

Aby się rozerwać, siadł przy Janie Dmitriczu.

— Jestem zwalczony — rzekł drżąc oblany zimnym potem. — Jestem zwalczony.

— Pofilozofuj pan — odparł ironicznie Jan Dmitricz.

— Mój Boże, mój Boże, tak, o tak. Kiedyś opowiadałeś pan, że w Rosyi nie ma prawdziwych filozofów, ale filozofują nawet najmniejsi, a tych filozofia nikomu nie szkodzi, dla czegóż więc ten ironiczny śmiech? A dla czegóż nie mają filozofować ci malutcy, jeżeli im z tem dobrze? Rozumny, inteligentny, wolny człowiek na podobieństwo Boga stworzony, idzie między ludzi jako doktór, w brudne, małe miasteczko i całe życie bańki stawia, pijawki i plastry. Szarlatańśtwo, głupstwo i kłamstwo. Bóg widzi.

— Pan mówisz głupstwo, bo jeżeli byłeś przeciwny medycynie, trzeba było iść na ministra.

— Nie można było, nie. Słabi jesteśmy. Byłem przecież szlachetnym, uczciwym i zdrowo myślącym człowiekiem, a trzeba było aby życie mnie troszkę przycisnęło i upadłem, dusza słaba, woli nie ma... Słabi jesteśmy, głupi. I pan także. Pan rozumny, dobrze urodzony i wychowany z mlekiem matki wysysałeś lepsze porywy, ale jak zacząłeś żyć, złamałeś się także, zachorowałeś... słabi jesteśmy, słabi.

Coś jeszcze nieokreślonego prócz strachu i obrzydzenia nurtowało Andrzeja Efimycza przez cały wieczór. W końcu wytłomaczył sobie to tem, że chce mu się napić piwa i papierosa zapalić.

— Ja wyjdę ztąd, każę, żeby mi ognia dali... nie mogę tak... nie mogę wytrzymać.

Doktór podszedł do drzwi i otworzył, ale w tej chwili Nikita wyskoczył i zastąpił mu drogę.

— Panie? Nie można, nie można. Czas iść spać.

Nikita zatrzasnął drzwi i plecami je podparł.

— Ale jeżeli ja wyjdę ztąd, cóż w tem złego? — zapytał. — Nie rozumiem Nikita... Nikita ja muszę wyjść na chwilę. — Mówił już drżącym od gniewu głosem. — Ja muszę.

— Proszę nie nalegać kiedy nie można — mówił uporczywie Nikita.

— Djabeł wie co to wszystko znaczy! — krzyknął Jan Dmitricz. — Jakie on ma prawo nie puszczać nas! Jak oni śmią nas tu zamykać! W kodeksie przecież wyraźnie powiedziane, że nie wolno być pozbawionym swobody bez sądu. To gwałt, nie postępowanie sądowe!

— Ale tak, to gwałt! — mówił doktór podniecony jeszcze więcej krzykiem Jana Dmitricza. — Ja chcę, ja muszę wyjść! On nie ma prawa. Puść mnie, mówię ci!

— Słyszysz, głupie bydlę! — Krzyczał Jan Dmitricz i uderzył pięścią w drzwi. — Otwórz bo drzwi wywalę!

— Otwórz! — wołał doktór. — Ja potrzebuję!

— Pokrzycz jeszcze! — odezwał się z za drzwi głos posługacza. — Pokrzycz!

— W ostateczności zawołaj do nas Eugieniusza Teodorowicza, powiedz mu że go proszę na minutę.

— Jutro sam tu przyjdzie.

— Nigdy was ztąd nie wypuszczą — mówił Jan Dmitricz. — Zostawią was tu, o Boże! czyż ten świat nie jest piekłem? a ci niegodziwcy będąż zbawieni? gdzie sprawiedliwość? Otwórz niegodziwcze, ja duszę się! — krzyknął wreszcie chrapliwym głosem i całą siłą pchnął drzwi. — Ja głowę sobie rozbiję, zbrodniarze!

Nikita szybko uchylił drzwi i silnie obydwiema rękoma pchnął Andrzeja Efimycza, potem zamierzywszy się uderzył go pięścią w twarz. Doktor miał wrażenie że wielka słona fala zalała go i porwała go w otchłań i rzeczywiście w ustach zrobiło mu się słono, dostał krwotoku. Chcąc wypłynąć, bezwiednie ruszył rękoma, uchwycił się poręczy łóżka, a Nikita korzystając z sytuacyi i zamieszania uderzył go jeszcze dwa razy w plecy.

Jan Dmitricz, głośno krzyknął z przerażenia; widocznie wiedział, co to jest bicie...

Później wszystko ucichło. Ranny brzask wdzierał się po przez kraty okienne, a w powietrzu rozłożył się półmrok do pajęczej sieci podobny. Było strasznie. Andrzej Efimycz położywszy się stłumił oddech i z przestrachem myślał czy go bić jeszcze będą?

Miał wrażenie że ktoś wbił mu ostrze i kilka razy przekręcił go w piersiach i w żołądku. Z bólu gryzł poduszkę, ścisnąwszy zęby i wtedy w głowie jego wśród tego zamętu, ukazała się myśl straszna, okropna, że takie męczarnie zmuszeni byli przechodzić ci ludzie, którzy zamknięci, tutaj wyglądali obecnie w tym mroku jak cienie. Jak się to stało że w przeciągu dwudziestu lat on tego nie spostrzegł? On nie czuł i nie miał pojęcia o bólu — znaczyło że on nie jest winien i sumienie zbudzone przez brutalność Nikity zaczęło go dręczyć. Wyskoczył z łóżka, chciał krzyknąć ze wszystkich sił, chciał lecieć zabić Nikitę, później Hobotowa, dozorcę, felczera, a później siebie, ale z gardła żaden dźwięk nie wyszedł, nogi słuchać go nie chciały, dusząc się rwał na piersiach chałat, koszulę i wyczerpany bez zmysłów runął na łóżko.

XIX.

Na drugi dzień rano, bolała go głowa, szumiało w uszach i w całym ciele czuł osłabienie. Myśleć o swoim wczorajszym wypadku już się nie wstydził Był osłabiony, bał się zmroku, i natarczywie analizował uczucia, których nigdy sam nie doznawał, np: myśli o filozofii ludzi mało-inteligentnych. Ale mu jakoś dziwnie wszystko obojętnieje.

Nie jadł, nie pił, leżał bez ruchu i milczał.

— „Mnie wszystko jedno — myślał kiedy go pytano — odpowiadać nie będę, wszystko mi jedno.

Po obiedzie przyszedł Michał Awierjanycz i przyniósł ćwiartkę tytoniu i pudełko marmoladek. Dariuszka także przyszła i całą godzinę stała przy łóżku z wyrazem troski na twarzy. Odwiedził go także Hobotow, przyniósł szklankę bromu i kazał podpalić troszkę w piecu.

Przed wieczorem Andrzej Efimycz umarł dostawszy apopleksyi. Z początku miał dreszcze, później duszność, w smaku coś podobnego do gnijącej kapusty i zepsutych jajek, a potem jakby go coś zalewało od żołądka do głowy i wreszcie aż do uszów. Pociemniało mu w oczach i Andrzej Efimycz zrozumiał, że przyszedł kres, wspomniał Jana Dmitricza, Michała Awierjanycza i miljony ludzi którzy wierzą w nieśmiertelność. A jeżeli ona istnieje? Ale jej nie pragnął, myśl ta zastanowiła go tylko przez chwilę. Stado antylop wspaniale pięknych i zręcznych, o których czytał jeszcze wczoraj, przeleciało mu przed oczyma... później jakaś kobieta wyciągnęła do niego rękę z listem rekomendacyjnym... powiedział coś pocztmistrz... później wszystko znikło, zbladło. Andrzej Efimycz zapomniał o wszystkiem na wieki.

Przyszli posługacze, wzięli go za ręce, za nogi i zanieśli do trupiarni. Tam leżał na stole z otwartemi oczyma i księżyc nocą go srebrzył. Rano przyszedł Sergiej Sergiejewicz, pomodlił się do Ukrzyżowanego i zakrył oczy swemu dawnemu naczelnikowi.

W dwa dni go pochowali. Na pogrzebie był tylko Michał Awierjanycz i Dariuszka.

Tłom. Bron. Jeremi.

„DYANA".

Komedya obyczajowa w 4-ch aktach,

przez

Stanisława Kozłowskiego.

Warszawa 15 stycznia 1900.

Autor „Turnieju" i „Taborytów" przedstawił publiczności naszej swój najświeższy utwór, osnuty na tle życia salonów warszawskich w pierwszych latach ubiegłego wieku.

Mimo nazwy „komedya obyczajowa", „Dyana" jest w gruncie rzeczy sztuką historyczną, gdyż stawia przed oczy widzów czasy minione; szkoda tylko, że autor nie pogłębił obrazu tej ciekawej epoki stanowiącej nieprzebraną kopalnię skarbów dla poety i uczonego. Zamiast dziejów narodu, mamy przygnębiający, choć prawdziwy rysunek jednej tylko warstwy społeczeństwa, rysunek barwny, pełen świetności i stylu, lecz grzeszący jednostronnością.

Rzecz dzieje się w Warszawie na początku XIX stulecia. Bohaterem sztuki jest książe Józef Poniatowski, przechrzczony przez bezdenną w swej głupocie cenzurę na... Jerzego! W koło tej postaci przyszłego bohatera grupuje się wesoła czereda rozbawionej „haute volee". Były to czasy, kiedy towarzystwo warszawskie szalało, pędząc życie wśród balów, kuligów, polowań i romansów. Jakiś szał upojeń owładnął „wyższe dziesięć tysięcy", zdawałoby się, że poza miłostkami i wszystkiem tem, co dla nich stanowi tło przyjemne, nic tych ludzi nie obchodzi i nie może obchodzić. Wprawdzie ks. Józef mówi, że „by zgłuszyć smutek, śmieje się wesoło" lecz trudno widzom uwierzyć, by tak rzecz się miała naprawdę. Świat warszawskich salonów bawi się w „Dyanie" tak wesoło i bezmyślnie, że nie zachodzi nawet najmniejsze podejrzenie, aby epoka odrodzenia narodowego, epoka wielkich czynów wojennych, w których ks. Józef tak wspaniałą odegrał rolę, miała być tuż za pasem. I to jest właśnie głównym błędem sztuki p. Kozłowskiego.

Treść jej da się zawrzeć w niewielu słowach.

„Przyjaciółka" księcia Józefa, Luiza, zaniepokojona tem, że książę nawiązał miłostkę ze szlachcianeczką, sprowadza do Warszawy Henrykę de Lagarde, słynną z urody i elegancyi francuzkę, wdowę po emigrancie z czasów wielkiej rewolucyi, teraz zamieszkałą w Wiedniu. Jest to właśnie Dyana — nazwano ją tak, bo lubiła myśliwstwo

Plan udał się. Książę, który przed chwilą przysięgał łowczance, ujrzawszy Dyane, tę znowu kochać zaczyna. Przytem łowczanka, wszedłszy na dwór wielkopański, staje się przedmiotem złośliwych epigramatów. Przewidywania Luizy sprawdzają się. Szlachcianeczka, doznawszy zawodu, zaczyna spazmować, mdleje i opiekun wywozi ją z Warszawy na wieś. Zwycięstwo zostaje na pozór przy Luizie, lecz tylko na pozór, gdyż książe Józef, zasmucony łzami niebogi przychodzi do opamiętania:

Przez tę chwilę małą
Całe morze goryczy w piersi mej wezbrało,
Bom ujrzał, jak spływają krwią serca gołębie,

Przyjaciele obawiają się, czy książe nie za głęboko wziął sobie do serca ten nie pierwszy zresztą epizod w swem pełnem miłosnych awanturek życiu, lecz troski ich są płonne. Przyszły bohater napoleońskiej epopei poznał tylko, że po za próżniaczem spędzaniem czasu pośród uciech miłosnych i bezmyślnej zabawy jest świat inny.

„Nie, moje serce zdrowe, w zdrowym łonie bije
Ono pcha mnie do pracy, do trudu, do czynów,
Bo oto syty jestem miłosnych wawrzynów;
Żegnajcie czarnobrewe i wy złotowłose,
Róże, z których strącałem brylantową rosę!
Nie chciejcie mi za czyny liczyć wiarołomne,
Że przy pługu oracza o kwiatach zapomnę,
Lecz samo życie ryje między nami przedział.

W ten sposob, postać ks. Józefa nabiera choć pod koniec sztuki poważniejszego charakteru: autor stara się w ten sposób naprawić jeden z kardynalnych błędów swego utworu, polegający właśnie na uczynieniu bohatera dziejowego, bohaterem... komedyi...

Najlepszym ze wszystkiego jest bezsprzecznie akt drugi, rozgrywający się w sali bufetowej teatru „de Société". Zaczyna się on od tego, że rymopis Jaksa sprzedaje złośliwe epigramaty: staremu szambelanowi na „powiernika" jego żony, Lola; Lolowi na szambelana, i trzeci jeszcze chce sprzedać baronowi Anatolowi, ale ten odmawia kupna i niespodziewanie wyjmuje z kieszeni tak zjadliwy epigramat na samego Jaksę, że zmusza go do nabycia od siebie. I biedny Jaksa płaci gotówką.

Łowczanka idzie do garderoby ubierać się, bo ma tu wystąpić na scenie — dla ukochanego księcia. Tymczasem panie zbierają się w bufecie, otaczają Dyanę i proszą ją o nowiny z wielkiego świata. Dyana opowiada im o modach. Panie zasłuchują się, notują, mdleją z wrażenia. Wyborna scena, ożywiona szczerym humorem. Po niej towarzystwo idzie patrzeć na widowisko. Łowczanka gra świetnie, bo myśli, że gra dla „niego" i że „on" na nią patrzy. On jednak tymczasem, zamiast patrzeć na nią, szturmował w sąsiednim salonie — do serca Dyany. Rozlegają się oklaski: to dla Łowczanki. Dyana odchodzi i zostawia księcia rozmarzonego. Ale oto zjawia się Łowczanka i pyta: „Książę, byłeś, widziałeś? kiedy mówiłam „*kocham*", myślałam o tobie. Czy dobrze grałam? „Cóż ma odpowiedzieć? Jąka się, aż z kłopotu wybawia go wejście całego towarzystwa, które robi owacyę Łowczance Krzysi. Odchodzi ona szczęśliwa i wierząca. Akt kończy wielce zabawna scena. Oto Anatol poprzekładał epigramaty w kieszeniach Szambelana i Lola. I kiedy ci zaczynają je czytać, parskając od śmiechu — kończą z oburzeniem, bo każdy ujrzał swój konterfekt własny. Za karę ograbiają biednego Jaksę ze stu złotych, i ten „żart" przywraca doskonały humor Szambelanowi.

Z tej próbki widać, jak doskonale utrafił autor w lekki, pełen finezyi i dowcipu ton, który brzmiąc przez całą sztukę, utrzymuje widzów w odpowiednim nastroju. Gdyby jeszcze akcya była choć troszkę więcej ożywioną i gdybyśmy prócz cieniów deprawacyi i bezmyślności mieli jeszcze choć trochę światła, które winno padać przynajmniej na osobę bohatera, „Dyana", byłaby dziełem wprost doskonałem. Niestety, błędy o których mowa zmniejszają o wiele jej wartość wewnętrzną.

Wystawienie sztuki zasługuje na wszelkie pochwały. Książę Józef w interpretacyi p. Śliwickie-

go. Frenkel jako Szambelan, oraz Tekla Trapszówna zbierali huczne oklaski. Przed wszystkimi jednak zasługuje na wyróżnienie p. Lüdowa, roztaczająca w roli Dyany wszystkie zasoby swego niepospolitego talentu. Było to upersonifikowanie stylu wykwintności i wdzięku. Uznał to sam autor wystosowując do znakomitej artystki nazajutrz po premierze wierszowany list następującej treści:

„Słoneczna! niech Ci płynie życie, jak biesiada,
Niech się z blasków, zachwytów i tryumfów składa,
Bo w „Dyanie“ jak bogini królujesz na scenie,
Zjawiasz się niby gwiazda, znikasz jak... marzenie!
A kiedy się ukażesz wśród dam i rycerzy,
To się szept uwielbienia pośród widzów szerzy.
Każde Twe wejście budzi entuzyazm na sali,
A słuchają Cię.. jakby królowej słuchali,
Bo wszyscy są porwani na artyzmu szczyty
Przez Twą grę wyrzeźbioną, talent znakomity.
Więc płyń niby meteor promienistą smugą
I świeć na polskiej scenie... długo... długo... długo...

Kazimierz Władysław Kumaniecki.

Mickiewicz a Słowianie.

W 1840 r. zaszedł w Paryżu fakt wielkiej doniosłości: rząd francuski otworzył w College de France katedrę literatur słowiańskich. Na kazać oczom zachodnio-eropejskiej inteligencyi ludy słowiańskie, stwierdzić, że mają one za sobą już całe wieki rozwoju, przypomnieć światu, że niektóre z nich wydobyły z łona swego potężne nawet organizacye społeczne i wiernie dotrzymywały kroku zachodniej cywilizacyi. Lecz to nie było jeszcze wszystko. Z powodu bardzo wielu okoliczności, zupełnie nie zależnych od Mickiewicza, mogły jego wykłady wzbudzić wśród rodziny słowiańskiej pewne niezadowolenie. Mickiewicz nie rozporządzał wówczas taką olbrzymią i należycie uporządkowaną ilością materyału źródłowego, jakby to tych dziś było, i bardzo łatwo mógł z tego powodu pominąć to lub owo i narazić się na liczne, może nawet przykre zarzuty. Całą trudność i odpowiedzialność swego stanowiska Mickiewicz pojmował z zupełną świadomością; wiedział, że ma pokonać bardzo wiele trudności, czuł, że cała Słowiańszczyzna, z wielką niecierpliwością oczekuje tej chwili, w której on wstąpi na katedrę, rozumiał, że ma wykładać wobec pierwszorzędnych powag w ówczesnym świecie naukowym i literackim, i że ma spełnić wielkie zadanie narodowe i szczepowo-społeczne.

Zaraz na pierwszej lekcyi Mickiewicz zadał sobie następujące pytania: „Co było początkiem naszych (t. j. między Słowianami) poróżnień? Co znowu może nas połączyć?“

Początkowo Słowianie stanowili jedną wielką rodzinę, mieli jeden język, jedną religię, jedne zwyczaje. Ta rodzina jednak nie miała nigdy w sobie zdolności do złączenia się w jedną, silną na zewnątrz organizacyę polityczną, owianą jedną istniały dłużej; inne znów, jak np. państwo ruskie zawdzięczały trwałą organizacyę obcym napływowym pierwiastkom. Wreszcie państwo polskie dzięki temu, że na czele stanęli genialni władcy, którzy potrafili nie tylko otworzyć wrota zachodniej cywilizacyi i zastosować ją umiejętnie do potrzeb i stanu swego państwa, ale nadto umieli stworzyć silną organizacyę, zabezpieczającą byt ich państwa na długo, wybiło się w ciągu długich lat wieków na czoło Słowiańszczyzny, aby odegrać ważną rolę polityczną w historyi wschodniej Europy. Wszystkie te jednak związki obejmowały tylko pewną cząstkę wielkiej rodziny słowiańskiej.

Wiara chrześciańska wniosła w Słowiańszczyznę nowe życie, ale zarazem i nowe wyobrażenia. Jeżeli w pierwotnej religii słowiańskiej nie było objawienia, które zdaniem Mickiewicza, jedno tylko mogło ludy słowiańskie „zgromadzić około jednego głosu“, to obecnie chrześciaństwo wypełniło tę lukę, gdyż opierając się na objawieniu, powinno było dać Słowianom ów „powszechny popęd“, o którem mówi poeta. A jednak tak się nie stało!... Chrześciaństwo ugruntowało wprawdzie wśród ludów słowiańskich naukę, opartą na objawieniu, lecz równocześnie wprowadzało z sobą nowy rozłam, mianowicie dwa obrządki... I bodaj czy to dla jedności słowiańskiej nie było nawet niebezpieczniejsze, niż stan pierwotny. Dawniej wprawdzie nie było wcale żadnej jedności, nieporozumienia i waśnie wybuchały wprawdzie ciągle między poszczególnemi plemionami, ale były to zatargi drobne, chwilowe,

Z państwa Mikada.



Grupa aktorów japońskich przedstawiająca „harakiri“.

wieść o tem, oczy całej emigracyi zwróciły się ku Lozannie, gdzie wówczas na uniwersytecie wykładał Mickiewicz. Nikt nie był godniejszy zająć nową katedrę, nikt nie mógł przed Europą wspanialej i lepiej roztoczyć obrazu kultury słowiańskiej, jak tylko piewca Pana Tadeusza. Poecie jednak było dobrze w Lozannie. Mickiewicz mimo krótkiego pobytu w Szwajcaryi zżył się z nią, z jej powietrzem, z jej ludem i z jej uroczą przyrodą, a jednak skoro rodacy zwrócili się doń z prośbą, by przyjął propozycye rządu francuskiego, poeta nie wahał się długo. „Będę musiał katedrę przyjąć żeby Niemiec jakiś nie wlazł i na nas stamtąd nie szczekał“. (List do Bohdana Zaleskiego z 2. lipca 1840 r.) Nic nie zdołało go odciągnąć od przyjęcia katedry, nawet ta okoliczność, że na publicznej sesyi w uniwersytecie lozańskim, proszono go urzędownie aby pozostał (List do Adama Czartoryskiego z 17. lipca 1840). Mickiewicz zrozumiawszy, że jego miejsce obecnie w Paryżu, a nie w Lozannie, porzucił wszystko i pospieszył do stolicy Francyi. „Szkoda mi Lozanny“ — pisze do ks. Adama Czartoryskiego d. 31. lipca 1840 — „ale tu idzie mniej o dobro, które mogą w Paryżu zrobić, jak o przeszkodzenie złemu, bo gotowiby wsadzić jakiegoś wroga naszego“.

Zadanie, które Mickiewicz miał spełnić w Paryżu, było pierwszorzędnej wagi; z ust jego miały paść słowa, budzące ze snu uśpione echa; on miał w swoich wykładach wydobyć z cieni i pomyślą i zdolną myśl tę wspólnemi siłami urzeczywistnić. Powód tego zjawiska Mickiewicz upatruje w tem, że w pierwotnej, rodzinnej religii słowiańskiej nigdzie nie spotykamy Objawienia. Ślady, którychby się można było u Słowian dopatrzeć, są naleciałością obcą, wręcz przeciwną wyobrażeniom samych Słowian. „Religia ich — mówi poeta — była raczej opinią, niżeli wiarą; Słowianie mieli mniemania religijne, nie mieli religijnego słowa, które objawia prawdy wyższe i działa, jako natchnione od władzy nadziemskiej. Dlatego też lud ten nie mógł nigdy zgromadzić się około jednego głosu, pójść za jednym powszechnym popędem, przedsięwziąć np. jakąś wielką wyprawę, któraby miała cel rozległy i tajemniczy. To także jest jedną z przyczyn, dla których nigdy nie byli zdobywcami, a nawet przed swoją epoką chrześciańską, ani jeden z tych ludów nie był wojennym, nie mógł postawić licznego wojska i działać z dalekim zamiarem!“ Tak zatem Słowianie mimo to, że zajmowali olbrzymią przestrzeń, nie tworzyli żadnych większych związków politycznych. Skutkiem tego łatwo ulegali przemocy najeźdźców, którzy potrafili im przeciwstawić silniejszą organizacyę. Tylko pod wpływem grożącego niebezpieczeństwa plemiona słowiańskie łączyły się w większe associacye społeczne, lecz zwykle z chwilą usunięcia niebezpieczeństwa związki te kończyły swój byt. Tak powstało i tak upadło państwo Samona. Inne, późniejsze związki słowiańskie, jak np. państwo Morawskie, które, jak rychło się zapalały, tak też i rychło gasły. Obecnie religia objawiona dała Słowianom siłę i wzmocniła poczucie jedności, ale rozłamała jedną rodzinę na dwa odłamy, wywołując tem stan, który po wybuchu schizmy wschodniej, miał wydać fatalne skutki. Obok tego pozostał w Słowiańszczyźnie jeszcze dawny pierwiastek pogański, który, uważając Słowian — chrześcian za zdrajców wspólnej sprawy, wolał raczej łączyć się z wrogami i wreszcie zupełnie zginąć, niżeli podać rękę wielkim królom polskim, czy czeskim, którzy myśleli o stworzeniu na Łabą potężnej monarchii słowiańskiej, jako przedmurza przeciw germanizmowi wdzierającemu się przemocą w obręb ziem słowiańskich.

Czechy zaczęły grawitować ku Niemcom. Wprawdzie Ottokar II. myślał o jakiejś potędze słowiańskiej, a nawet w chwili, gdy miał wystąpić do walki z cesarzem Rudolfem, wydał proklamacyę do książąt polskich, w której wzywał ich pomocy w imię plemiennej solidarności, ale Czechy z godnością elektorską weszły w obręb polityki, prowadzonej przez Rzeszę niemiecką. Panowanie Luksemburgów, zwłaszcza Karola VI. było dla wewnętrznego rozwoju Czech bezwarunkowo korzystne, ale ze względu na idei słowiańskie wielkie przyniosło szkody, gdyż Luksemburgowie byli nie tylko elektorami, ale i cesarzami. Wreszcie po różnych kolejach Czechy weszły w skład dziedzicznych krajów dynastyi Habsburskiej, nie mogąc się odtąd wybić na stanowisko samoistne.

Prym zatem wiodła Polska, która pod znakomitemi rządami ostatniego Piasta, a potem dzięki unii z Litwą stała się potęgą, dzierżącą w swych rękach ster polityki wschodniej. Lecz właśnie wtedy, gdy za ostatnich Jagiellonów państwo polskie osiągnęło pod każdym względem swój zenit, na wschodzie rósł niebezpieczny rywal — późniejsze Carstwo rosyjskie. Małe zrazu W. Księstwo moskiewskie, wyszedłszy z pod jarzma tatarskiego, rozwijało się zwolna wprawdzie, ale konsekwentnie, postępując ostrożnie, cierpliwie, ale wytrwale naprzód... ku granicom Polski. Starcie musiało nastąpić; te dwa państwa musiały stoczyć z sobą bój o pierwszeństwo wśród rodziny słowiańskiej i o rządy nad wschodem Europy. I kiedy wreszcie nadeszła rozstrzygająca chwila, stanęły naprzeciw siebie; z jednej strony Polska, już nie silna i potężna, jak za Zygmuntów, lecz słaba na zewnątrz, a zdezorganizowana na wewnątrz, z drugiej zaś strony Rosya, z całą swoją przebiegłością i z całą swoją potęgą, opartą na ciemnocie mas, idących na ślepo na śmierć za cara i za matkę-Rosyę. Polska była reprezentantką katolickiej Słowiańszczyzny, Moskwa, schizmy, a walka toczona przez nie była zarazem walką dwu różnych kierunków religijnych wśród rodziny słowiańskiej. Dlatego też do dzisiejszego dnia w walce polsko-rosyjskiej, wszędzie obok kwestyi narodowych występuje na plan pierwszy kwestya religijna. Mickiewicz kreśli tę walkę w taki piękny sposób: „Niedawnymi czasy widziano jedną z armij słowiańskich, armię rosyjską, na wszystkich polach bitew, we wszystkich stolicach Europy. Ta armia gdziekolwiek się obróciła, gdziekolwiek zamierzyła krok postawić, była pewna spotkać wszędzie drugą armię słowiańską, legie polskie, które, jak cień mściwy wynikając z pod ziemi, stawały przed nią we Włoszech, ścigały ją od Niemna do Moskwy, zastępowały jej drogę na przeprawie Berezyny i aż pod bramami Paryża. Potem, kiedy już poległ bohater wieku, kiedy się wszystko uciszyło w Europie i armia rosyjska zajmowała bezpiecznie swoje leże, nagle wśród niej zjawia się znowu armia polska, zawodzi z nią bój okropny, napełnia świat cały wrzawą, wstrząsa pobratymcze i obce, przyjazne i nieprzyjazne ludy, zapala je uczuciem gorącej niechęci lub gorętszej jeszcze życzliwości, nakoniec niknie, zostawiając po sobie długi odgłos jęków i chwały. Wszędzie orzeł rosyjski spotyka się z orłem polskim, zawsze „hurra“ Rosyan rozlega się naprzemian z okrzykiem bojowym Polaków. A jeżeli natężymy słuch na głos dalekiej przeszłości — i tam ciągle nam się powtarza echo tejsamej walki dwu zastępów, częstokroć bijących się o sprawę, napozór zupełnie im obcą, bez swoich znaków i barw narodowych, poznających się tylko, jak mówi poeta, po tęgości cięcia; echo walki odwiecznej, którą jeden z Rosyan, książe Wiaremski, nazwał „Tebajdą bez końca“.

A zatem na północy dwie rywalki, Polska i Rosya; Czesi, złączeni wielorakiemi interesami z Rzeszą, zajmują wśród Słowian stanowisko odrębne; Słowaków gnębią Madziarzy. Na południu Kroacya, Slawonia i Słowiańszczyzna nadadryatycka broni się, co jej tylko sił starczy, przeciw Niemcom, Włochom i Węgrom, a na Bałkanie wrze walka z Turcyą. Gdy wreszcie ta ostatnia ustała, Bałkan stał się polem, na którem miały się zetchnąć polityki i interesy dwu mocarstw: jedno z nich jest słowiańskiem, gdy w drugiem przeważają Słowianie Rosyą i Austryą, idą z sobą w zawody i chociaż rywalizacya odbywa się na razie bez głośnych wstrząśnień i z zachowaniem całej dyplomatycznej grzeczności, to jednak objawy tego współzawodnictwa dają się stwierdzić na każdym kroku. Czy dyplomacya zdoła jeszcze długo przewlekać wybuch ostatecznej krizis, pokaże najbliższa przyszłość.

Mickiewicz, chcąc odpowiedzieć na drugą część pytania: „Co znowu może Słowian połączyć?“ — podnosi z naciskiem, że pojęcie Słowiańszczyzny całkowitej zaświtało dopiero w wieku przeszłym, ale żeby tę całość kiedyś rzeczywiście otrzymać, podobno chwycono się dróg, nie najlepiej prowadzących do celu. Uczeni wołają zawsze w imię wspólnego rodu, nie pomnąc, że to instytucye religijne i polityczne sprawiły te różnice, któreby oni chcieli zniszczyć i że nie można zniszczyć całej historyi ludu, aby go wrócić do początku fizycznego... Inni, zajmujący się myślą przyszłego odbudowania Słowiańszczyzny, upatrują środek w tej lub owej formie rządu. Ale żaden rząd nigdy nie miał dosyć mocy na spojenie różnych narodowości. Cesarstwo rzymskie, które było ideałem siły materyalnej, narzuciło swój kształt wielu ludom zachodnim; za pierwszym wszakże ciosem barbarzyńców pękła na zawsze ta spójnia martwa“. A zatem czy jest jeszcze coś takiego, coby mogło zjednoczyć ludy słowiańskie, czy nie pozostaje im nic innego, jak tylko i nadal iść dotychczasowym torem? Na to Mickiewicz odpowiada w ten sposób: „Słowianie nie powinni spodziewać się, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiejś upodobanej formy rządu. Dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość“. Taka idea żyje w Słowiańszczyźnie, i dziś może się jeszcze więcej manifestuje, niż kiedykolwiekindziej. Tą odwieczną ideą jest walka z germanizmem; ona w większej części wypełniła przeszłość ludów słowiańskich, ona też ma być treścią ich przyszłej historyi. Idea ta budzi się w naszych oczach, widzimy ją w Poznańskiem, widzimy ją w Czechach i na południu w Austryi. To są jednak tylko objawy, że się tak wyrazimy natury wewnętrznej i lokalnej, a w Prusiech mają one nawet wyraźnie charakter ściśle narodowy, polski. Wobec tej walki cały szereg ludów południowo-słowiańskich, tudzież Słowianie zamieszkujący Cesarstwo rosyjskie, muszą stać bezczynnie, biernie. Idea walki słowiańsko-niemieckiej wychodzi także poza granice wspomnianych mocarstw, tu spotyka się znowu z polityką „rosyjskiego panslawizmu“, który gotów znów kiedyś w przyszłości wywołać rozdźwięk wśród rodziny słowiańskiej. To tylko pewne, że taka walka wisi w powietrzu już od szeregu lat, by spaść kiedyś nagle, niespodzianie, jak piorun z jasnego nieba.

Co z tego boju wyniknie, przewidzieć dziś trudno. Na razie winniśmy zachować w pamięci słowa Mickiewicza, którémi zakończył swój pierwszy wykład w Collège de France: „Literatura jest placem, gdzie wszystkie ludy słowiańskie znoszą płody swojej działalności moralnej i umysłowej bez spychania się, bez wzajemnego wstrętu. Bodajby to spotkanie się spokojne na tem pięknem polu było godłem ich zjednoczenia się w innym zawodzie“. Powyższe słowa winny pamiętać wszystkie słowiańskie ludy. Łączyć je ma „idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć ich przeszłość i przyszłość“. W tej wspólnej idei czerpiąc dla siebie siłę, winny ludy słowiańskie wymieniać sobie nawzajem dorobek swej pracy w każdym kierunku, ale „bez spychania się, bez wzajemnego wstrętu“. Tylko wtedy podjęta walka zdolna będzie wydać prawdziwe owoce bez względu na to, czy swym zakresem obejmie szersze, czy ciaśniejsze obszary.

Z życia Lapończyków.



W pogoni za wilkami na łyżwach śniegowych.

Cywilizacya wśród dzikich ludów.



Indyanie przysłuchują się produkcyom fonografu.

PTAK PRZELOTNY

obrazek ludowy

napisał

Konstanty Krumłowski.

(Ciąg dalszy).

XII.

Dla Marcysi rozpoczęły się tedy dnie upragnionej dworskiej służby. Nie było w nich jednak nic, coby choć w części odpowiadało rojeniom dziewczyny. Po mozolnie spędzonym dniu pracy w polu, ogrodzie lub „koło dworu“, wracała razem z innemi dziewkami do kuchni, gdzie otrzymywała tę samą strawę co i inne i podobnie jak jej towarzyszki, zmęczona ale najedzona kładła się spać. Większej i pilniejszej uwagi nikt na nią nie zwracał, pomimo, że bezsprzecznie ze wszystkich była najładniejszą i najdorodniejszą.

W początkach służby oddawała się co prawda błogiej nadziei, że lada dzień, lada godzina zostanie zawezwaną przed oblicze Jasnego pana, że przyjdzie czas, w którym przecież dziedzic o niej wspomni i chwila, która zrobi ją tem, czem tu na dworze być powinna. I już widziała samą siebie w pokojach na górze uprzątającą podłogę i czyszczącą okna, jak to dzisiaj robi Hanka choć znacznie brzydsza i starsza od Marcysi. W oczekiwaniu przyszłego swego powołania do niezwykłych rzeczy — nabrała pewnej dumy i wstrzemięźliwości od towarzystwa krzykliwych dziewek i zuchwałych parobków dworskich.

Nieraz, gdy słyszała w niedzielę głośne śmiechy i wrzaski swoich rówieśnic — brała ją ochota

połączyć się z niemi, wyśmiać się, wyśpiewać i pobroić. Ale w tej chwili przychodziły jej na myśl „pokoje na piętrze“, śliska posadzka i Jaśnie pan z okrągłemi śmiejącemi się oczami i wielką świecącą łysiną. Tłumiła więc w sobie tą tęsknotę do ruchu, wesołości i użycia, oddalała się by nie słyszeć kuszących głosów i powtarzała sobie uroczyście w duchu: „Tyś dla pana! dla pana! pogrążając się w cichej kontemplacyi — o piętrze.

Biedna! nie wiedziała, że pan miał o czemś ważniejszem i pilniejszem do myślenia, niż o jakiejś dziewczynie, którą gdzieś i kiedyś widział, ale czy zapamiętał — nie wiadomo. Czas i umysł pański absorbowały obecnie częste konferencye z p. Chasklem i innymi obywatelami mojżeszowego wyznania, zamieszkującemi miasteczko. Tak powoli Marcysia odsunęła się od swego towarzystwa i ono odsunęło się od niej.

Dawniej jaki taki parobek zagadnął przyjaźnie dziewczynę, posunął się nawet do więcej niż gołosłownego flirtu. Marcysia jednak umiała takiem słowem, a nieraz i ruchem odpowiedzieć, że zalotnikowi zaraz odchodziła ochota. Spluwał przez zęby, zaklął, a odchodząc zamruczał: „Niech cię tam! Alboś ty to jedna?!“

I tak już zostało. Marcysia unikała ich — unikali ją także. Jakby namaszczona na jakąś przyszłą władczynię chodziła dumna, nieprzystępna i nachmurzona, i o ile pracą nie była zajęta błąkała się samotnie po podwórzach i folwarkach przeżuwając swój zawód i żal, to znów pocieszając się nadzieją lepszej przyszłości.

To ciągłe napięcie, to oczekiwanie, te nagłe przeskoki z nadziei do zwątpienia nie pozostały bez wpływu na nią.

Wyrobiła dla siebie — nie wiedząc o tem, pewien respekt w swem otoczeniu, któremu jej duma i niedostępność imponowały.

Gdyby te objawy jej usposobienia i charakteru były wypływem wrodzonej godności, lub miały początek swój w prawdziwym żalu lub czystej uczciwej miłości — dziewczyna pomimo swojego nieszczęśliwego usposobienia, byłaby uratowaną.

Ale rzecz się tu miała inaczej.

Źródłem tych zmian było zawiedzione brudne wyrachowanie, upokorzona fałszywa ambicya i zadraśnięta duma, że mimo chęci nie było jej danem sprzedać się za pański łaskawy uśmiech i przelotny fawor.

I ta dumna — dziewiczo niemal dumna kobieta — za jednem skinieniem człowieka starego i zużytego, który nic za sobą nie miał prócz blasku swej „pańskości“ i majątku — zamieniłaby się w heterę najgorszego rodzaju z wybuchami zwyrodniałego i długo hamowanego temperamentu. I gdyby on chciał i wiedział o niej, byłaby mu sługą — zwierzęciem — biernym przedmiotem i martwą rzeczą.

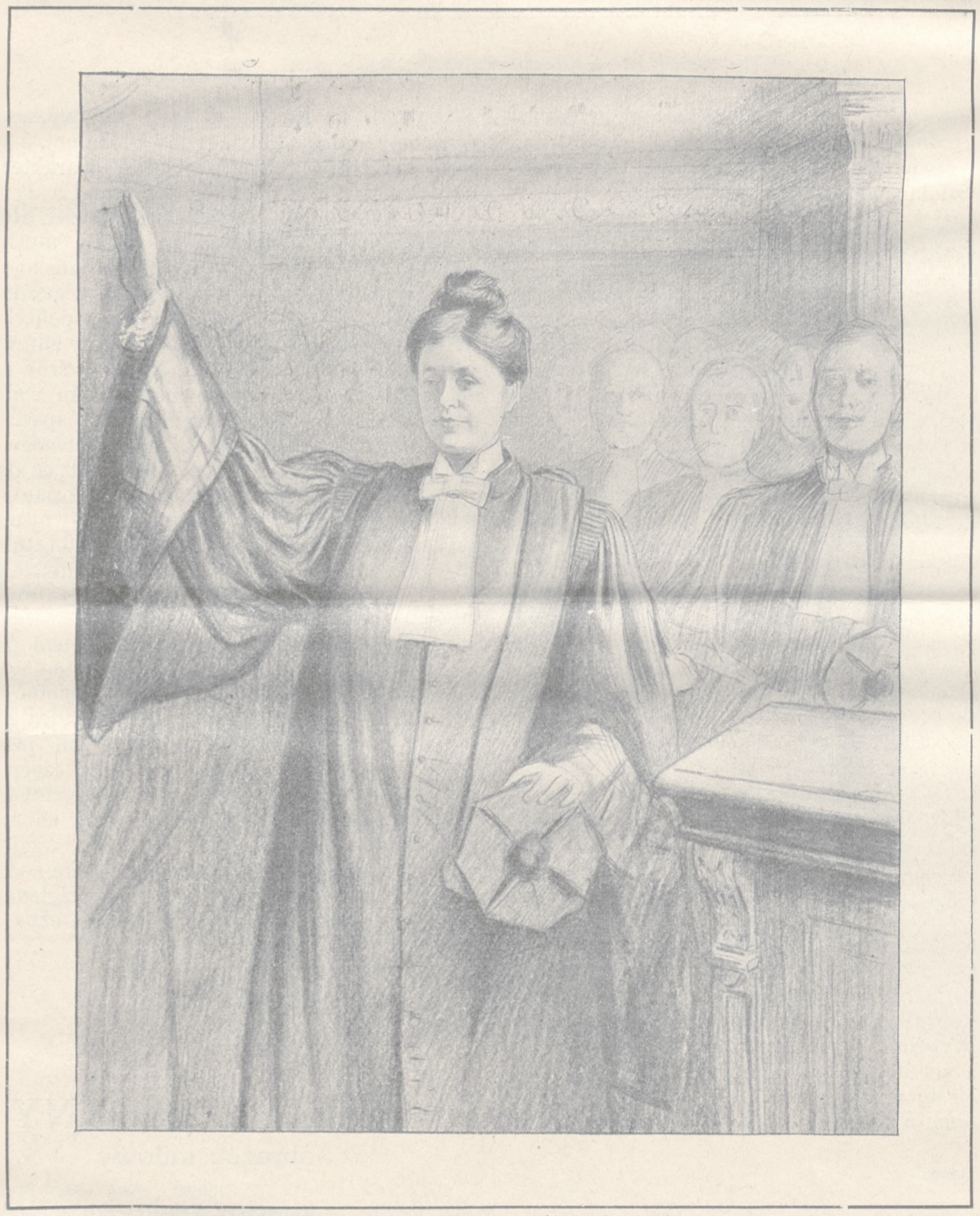
Niestety! nie wiedział!...

Pomyliliśmy się mówiąc, że Marcysia z nikim się nie zadawała. Owszem — wyjątek stanowił jeden człowiek: człowiek o rudych faworytach i z pańska zgrymaszonej twarzy. Pan Kajetan nieraz spotykał dziewczynę i co niedzielę odbywał z nią długie przechadzki gościńcem w stronę miasteczka. Pociągało go coś do niej, a i dziewczyna odczuwała instyktownie coś pokrewnego w nikczemnej duszy fagasa. O! bo i pan Kajetan był nieszczęśliwym na swój sposób.

I on czuł się zapoznanym i niedocenionym, z tą atoli różnicą, że u niego uczucie to było zupełnie świadome i określone, podczas gdy dziewczyna, nie mogłaby nawet dobrze opowiedzieć co czuła.

Tem chętniej jednak słuchała utyskiwań i żalów pana Kajetana — słysząc w nich echo własnej duszy. (C. d. n.)

Pierwsze adwokatki francuskie.



Pani Chauvin składa przysięgę adwokacką.

Henryk Sienkiewicz,
jako powieściopisarz.

Henryk Sienkiewicz urodził się powieściopisarzem.

Pierwsze próby jego pióra, nawet najsłabsze, świadczą o tem. Na każdej z nich dostrzedz łatwo charakterystyczno-obrazowe piętno rodzaju. Przyszedł na świat, kształcił się i rozwijał w chwili, gdy powieściopisarstwo polskie wzniosło się nagle, w ciągu niespełna lat dwudziestu, na niezwykle wysoki poziom znaczenia, obejmując wszechwładne panowanie nad sercami i umysłami. Czy dobrze się stało, że się tak stało, długoby o tem mówić trzeba; dość, że fakt się spełnił, znalazł bowiem odpowiednie dla się przygotowanie i atmosferę w duchu i charakterze narodu, który mniej się poddawał czarowi wielkiej poezyi, dla przeciętnego ogółu jeszcze niedostępnej, a lgnął sercem całem do zdawkowej tejże samej poezyi odmiany. Nie tylko czytywaliśmy i rozkoszowaliśmy się literaturą powieściową, lecz żyliśmy życiem bohaterów powieści, myśleliśmy i czuli jak oni, rzadko kiedy po za nią szukając nauk i przykładów, mogących przenosić zespół społeczny w dojrzalsze i doskonalsze sfery duchowego i materyalnego istnienia. Powieść była dla nas szkołą, wszechnicą, nawet doświadczeniem. Uczyliśmy się z niej wiary, przekonań i obowiązków obywatelskich. Czajkowski, Rzewuski i Kaczkowski z jednej strony, z drugiej Kraszewski, Korzeniowski i Jeż, wytwarzali ładne, pożyteczne i bogate podścielisko dla *powieści przyszłej*, która, chociaż nie zaczyna się od Sienkiewicza, Sienkiewiczowi jednak zawdzięcza swój rozgłos światowy i szerokie w kraju rodzinnym uznanie. Dawniej, była ona w części tylko sztuką, wyrażała bowiem przedewszystkiem samo życie, oraz uczucia grup i sfer, niejasno i chaotycznie pojmujących swoje zadania, nieodrywających się jeszcze poniekąd, pomimo postępowości pragnień, od pnia tradycyi i zamierającego świata, nie umiejących objąć wzrokiem całego smutnego widokręgu przyszłości w jego prawdziwych zarysach. Goniła za celem przedewszystkiem; szukała, nie kładąc zbyt silnego nacisku na piękno i kształty, rozwiązania zagadek, w które, jak sądziła, wola wyższa zaklęła i zaczarowała tajemnicze warunki dalszego bytu. Potem przyszedł Sienkiewicz. Zastał niemal wszędzie, zewnątrz i wewnątrz, w duszach i na niwach działalności piśmienniczej, same ruiny. Jako artysta indywidualny, brzydzący się pospolitością i zarazem jako sukcesor rasy w każdym calu estetycznej, stworzył odrębną, cudną, kunsztowną formę, zroszoną czystemi strumieniami kultury, przesuwającą panoramę swoich widoków na tłach psychologicznych lub historycznych, na wpół realną i na wpół fantastyczną, biorącą barwy z naturalistycznego i idealnego kierunku piśmiennictw obcych, słowem formę właściwą i wygodnie przystającą do usposobień chwili, wytworną kształtem, śliczną wdziękiem, uperloną łzami, rozpogodzoną uśmiechem żartu staroszlacheckiego, lub dzisiejszego humoru. Skrystalizował w sobie stare środki i znaczną część świeżych aspiracyj tak, że metal literacki, w ten sposób w ogniu wielkiego talentu stopiony i zamalgamowany, wylał się odrazu w przepiękne modły i napełnił literaturę naszą dziełami sztuki, niekiedy monumentalnemi jak pomniki, niekiedy wykwintnemi, jak artystyczne bronzy salonowe.

Pomijając pierwsze niedługie momenty karyery pisarskiej, gdy przygotowywał się do zawodu, jak uczeń w warsztacie, poznający tajemnice rzemiosła, rozpoczął działalność swoją niemal odrazu sukcesem. Jego „Hania“ była objawem niepospolitych zdolności. Po jej ukazaniu się, zaczęto mówić o Sienkiewiczu, zestawiając go z A. Daudetem. Względna i porównawcza pochwała wygłaszaną u nas bywa zwykle o każdym, gdy niespodzianie zajaśnieje; bo przyzwyczajeni mierzyć wszystko cudzym łokciem, nawet to, co się nam podoba, a z czego sobie sprawy nie zdajemy, chcemy miarą jego określić. Nie możemy pojąć dla czego nowo przybyły, chociaż swój i w pośród nas urodzony, przemawia do nas, wzruszającym serca językiem, dla czego odczuliśmy go i zrozumieli. Cóż dziwnego! Wszakże dla nas to tylko dobrem i pięknem, co przychodzi z zagranicy: mody w strojach i mody w literaturze. Przeróżni fejletoniści wpajają w nas to przekonanie. Ponieważ Henryk Sienkiewicz zaczął działalność swoją od nowelli, a najmodniejszemi wówczas nowellami były Daudeta, zawołano jednogłośnie, że „przypomina“ autora „Nababa“. Nic jednak nie było krytycznie fałszywszem od tego zdania. Jeśli istnieje pewne bardzo dalekie powinowactwo między twórcą „Tej trzeciej“ a jednym z nowellistów drugiej połowy XIX wieku, to już prędzej wymieniłbym Guy de Maupassanta, który wtedy, gdy Sienkiewicz debiutował, nie był jeszcze znany nawet w swojej ojczyźnie, zatem dla naszego młodego powieściopisarza nie mógł być wzorem. Zresztą na autora tylu prześlicznych, drobnych, na wskroś polskich i na wskroś oryginalnych opowiadań (w których zawsze, nawet przy najbardziej skondensowanej treści, dostrzega się silniej zaakcentowane kształty i istotę powieści, niż nowelli) oddziaływali wszyscy znakomici romansopisarze o tyle, o ile w stuleciu, nieustannych cywilizacyjnych relacyj równych z równymi, oddziaływać muszą na siebie wzajemnie z konieczności. Więc wpływał na Sienkiewicza Dickens, czasem Aleksander Dumas (ojciec), niekiedy Turgieniew i Bourget. Wpływ ten jednak nigdy nie uwydatnił się naśladownictwem. Był od początku do końca niezmiernie nieznaczny, ślizgający się po powierzchni formy i kunsztu; nigdy zaś niesięgający do głębin twórczości. Przywierał do wyobraźni miłem wspomnieniem, ale wyobraźnia autora „Bartka zwycięzcy“ przetwarzała go natychmiast w tak swojski i swój własny sposób, że tylko chyba mikroskopowe badanie (w krytyce literackiej niewłaściwie stosowane) odkryć go może. Za to w pierwszych latach działalności wpływało na niego (szczerze powiem: niedodatnio) otoczenie warszawskie i publiczność tutejsza, przepadająca za kroniką, fejletonem, za każdą błyskotką literacką, lepiej lub gorzej ustylizowaną, choćby zgryźliwą i jadowitą, byle schlebiającą powszechnym upodobaniom, a w którą przystrajać się lubią nasze dzienniki, pytlujące sprawy spo-

łeczne i sprawy sztuki, *le profane et le sacré*, na tymże samym młynku sprawozdawczym. Pod tym wpływem wprzągł się Sienkiewicz w koło tortury, zwane dziennikarstwem i zaczął pisywać fejletony tygodniowe w „Gazecie Polskiej“. Ale osobowość jego była zbyt twardą i rogatą, nie dała się więc zmiażdżyć i zetrzeć na otręby. Kroniki jego, zapełnione tłumem postaci powieściowych, obserwowanych pośpiesznie i dorywczo, ale odtworzonych barwnie i wypukłe, skąpane w gorących wannach siarczystej satyry, świadczyły, że przygodny fejletonista, to powieściopisarz *urodzony*, powieściopisarz z krwi i kości. Zresztą próba zbanalizowania Henryka Sienkiewicza nie trwała długo. Wyzwolił się z jej narzuconych uścisków silnem szarpnięciem swej kreacyjnej natury. Zerwał łańcuch, zanim ostre ogniwa wycisnąć zdołały na ciele jego twórczości brudne, sine lub czerwone ślady, i — popłynął do Ameryki.

Tu świetlane horyzonty nowego świata wzmogły i męskim wigorem napełniły jego talent. Pozostając sobą, urósł nadzwyczajnie. Przywiezione z kraju czucia, bóle i wrażenia — tam, pod obcym niebem, wśród ciągłej zmiany inpresyj i klimatów — wyraził przecudnie w swojem pierwszem arcydziele, w „Szkicach węglem“. Rozbierane one były tyle razy, omawiane tak często, że nie potrzebuję podnosić ich cennej wartości, wiem tylko, że w myśli i sądzę, że w myśli powszechnej postać Rzepowej wyryła się głębiej może od niejednej płaskorzeźby greckiej, zaleca się bowiem jak dzieła starożytnego dłuta pięknością i prostotą, tragicznością Sofoklesa i Arystofanesowską goryczą. Nigdy typ kobiecy nie był przez niego dzielniej i doskonalej wykonany. Blędną przy nim sympatyczna Marynia i Anielka i kunsztownie, złotniczą robotą wykonana „Topolka“. Odtąd kroczy już Sienkiewicz drogą nieustannych tryumfów, rozpoczynających się największym, najwspanialszym, najgłębiej wyczutym, (dla mnie osobiście najmilszym) — „Ogniem i Mieczem“. Tryumf ten ma w następstwie gradacye o jaśniejszym, lub mniej jaskrawym blasku; zmienia kolory, gdy tęczą farb swych obejmuje obie świata połkule, w gruncie jednak jest tym samym ciągle, ile razy autor występuje z nową powieścią, czy wchodzi ona jak „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“, w skład trylogii, czy staje się szeroko malowanym obrazem pogańsko-chrześciańskiego Rzymu w „Quo vadis“, czy ostatecznie pali się niby pochodnia w „Krzyżakach“, świeżo ukończonych w odcinkach czasopism i dzienników, a obecnie ukazujących się na widok publiczny w czterotomowem, książkowem wydaniu. Podniosłość ich sprawia mimowolne – a może poniekąd mimowiedne — obniżenie Sienkiewiczowskiej powieści psychologiczno-obyczajowej w opinii mas. Pomimo, że i ona jest artystyczną w całem szerokiem, literackiem znaczeniu tego wyrazu, pomimo, że potrąca o sprawy i kierunki najżywotniejsze na dobie, pomimo, że wyprowadza na scenę mnóstwo nowych i interesujących figur i figurek dzisiejszego świata, pomimo, że kreśloną jest z olbrzymim talentem, nie może zapanować nad całym zapałem, ciągle mnożących się czytelników tak wszechwładnie jak jego powieść dziejowa. A przecież „Bez dogmatu“ i „Rodzina Połanieckich“ są utworami pięknemi, i niezawodnie nie zmiejszają zasłużonej sławy Sienkiewicza. Lecz... jest w nich jakaś drobniuchna doza połowiczności, jest rozdarcie się duszy na śliczne, wykwintnie cyzelowane, ale konwenansowe atomy, jest zamknięcie się w atmosferze smakoszów literackich, które krępuje polot górny orlich skrzydeł autora. Przyzwyczailiśmy się widzieć go przemawiającym do ogółu, do zespolonej masy klas, do całego świata od Wschodu do Zachodu, więc, gdy przemawia na uboczu, do wybranego, szczuplejszego audytorjum, zdaje się nam, że część słów swoich chowa „pod korcem“, że dławi w sobie tchnienie gorące. Zato, czytając przedziwnie urocze jego drobiazgi, nowelle, któremi jak złotym piaskiem posypuje bite, wielkie gościńce swego ducha, serce zbiorowe ogółu zwraca się znowu ku niemu i wszyscy, idąc za boskim Mistrzem miłości i poświęcenia, *idą i za nim* także, jako za prorokiem pańskim.

Zygmunt Sarnecki.

Nasze ryciny.

W numerze dzisiejszym znajdą czytelnicy dwie ryciny odnoszące się do Japonii, tego ciekawego kraju, który starając się iść za postępem Europy, zwraca na siebie coraz bardziej uwagę ogółu. Zrazu zajmowano się w świecie cywilizowanym jedynie dziełami japońskiej sztuki, zostawiając uczonym i politykom badanie ustroju społecznego tego państwa. Wzrastające znaczenie Japonii, skierowało oczy szerszych kół europejskiej inteligencyi na to egzotyczne mocarstwo, dążące w cywilizacyi olbrzymimi krokami naprzód. Dawniej oryginalność japońskiej kultury była powodem zainteresowania, dziś zaciekawia nas jej ustawiczny a niesłychanie szybki rozwój, który nie burząc gwałtownie już istniejących instytucyj, rozszerza je i adaptuje stosownie do wymogów czasu i postępu. Jedna z dzisiejszych rycin przedstawia słynną statuę Buddy w Kamahurze koło Jokohamy, stolicy państwa Mikada. Statua ta znana w Japonii pod nazwą „Daibutfu“ ma 17 metrów wysokości i jest ulana z bronzu. Na drugiej rycinie grupa aktorów japońskich upozowała się do żywego obrazu, przedstawiającego „Harakiri“, samobójstwo, polegające na rozpłataniu sobie brzucha potężnym nożem. „Harakiri“ jest, można powiedzieć, narodowym sposobem pozbawiania się życia a jak widać z ryciny, wymaga pewnych przygotowań i odpowiedniej pompy. Wedle zapewnień podróżników, zwłaszcza dostojnicy japońscy, popadłszy w niełaskę, obierają ten tradycyą uświęcony sposób celem zejścia ze świata.

Tymi dniami składała pani Joanna Chauvin przed trybunałem paryskim przysięgę adwokacką. Drugiej już kobiecie dozwolono w ten sposób na wykonywanie adwokatury, gdyż 14 dni przed nią mury trybunału były świadkami przysięgi, składanej przez panią Petit, pierwszą adwokatkę we Francyi. Pani Chauvin, córka notaryusza, zostawszy sierotą, poczęła studyować prawo i uzyskała dyplom doktorski. Mimo to, prośba jej o pozwolenie zapisania się na listę adwokatów spotkała się z odmową generalnego prokuratora Bertranda. Dopiero, gdy w listopadzie r. z. parlament francuski dopuścił kobiety do zawodu adwokackiego, przypuszczono panią Chauvin do złożenia przysięgi. Jak widać z naszej ryciny, strój przywdziany przez nią, nie różni się w niczem od zwykłej togi noszonej przez francuskich adwokatów: jedyną jego ozdobą były koronki i rękawów i... sympatyczna twarzyczka młodej uczonej.

Sport jazdy na łyżwach śniegowych zwanych „Ski“ nie przyjął się u nas na równi z innymi, gdyż brak nam olbrzymich płaszczyzn śniegu, na których możnaby go wykonywać. Ojczyzną jego są góry Skandynawii i tam doszedł on do najwyższego stopnia rozwoju. Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia polowanie na wilki, urządzone przez Lapończyków, którzy mając przymocowane u nóg długie narty, pędzą z szybkością błyskawicy po zamarzłym śniegu, zbrojni w krótkie oszczepy. Żaden wilk nie może ujść przed ich pościgiem; mimo wszelkich wysiłków musi prędzej czy później paść ofiarą myśliwca, który sterując długim kijem stara się zabiedz mu drogę i przebić oszczepem.

Żołnierze angielscy, w chwilach wolnych od bitew i... uciekania przed Boerami, skracają sobie czas aranżowaniem walki kogutów. W zagrodę skonstruowaną z kamieni wpuszcza się dwa młode koguciki z których jeden wyobraża Anglika drugi Boera i po krótkiem oczekiwaniu obaj zapaśnicy skaczą ku sobie dziobiąc się aż do krwi, widzowie zaś robią zakłady, kto zwycięży? Należy dodać, iż ta inteligentna (?) zabawa cieszy się w całej Anglii ogromną popularnością a powstanie jej sięga odległych czasów. Wojna transwalska nadaje jej cechę aktualności, nic zatem dziwnego, iż synowie Albionu uprawiają obecnie ten sport z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Cywilizacya obejmująca powoli całą niemal kulę ziemską, zaczyna już przekradać się w zapadłe lasy Ameryki północnej, gdzie żyją ostatni potomkowie Skórzanych pończoch, Wielkich Wężów i innych bohaterów Coopera. Wynalazek telefonu i telegrafu nie jest już obcym dla synów puszczy, obecnie zaś poczynają zapoznawać się z fonografem. Genialnie skonstruowany aparat Edisona stanowi dla nich przedmiot niesłychanego podziwu; niektórzy sądzą nawet iż to wielki duch przemawia w ten sposób do swoich wiernych. Rycina zamieszczona w dzisiejszym numerze jest reprodukcyą amatorskiej fotografii przedstawiającej grupę Indyan w chwili gdy przysłuchują się produkcyom fonografu. Amerykańscy uczeni stosują fonograf do badania gwary różnych plemion rasy czerwonej, zbierając na walcach aparatu olbrzymi materyał do studyów.

Z wojny w Afryce południowej.



Żołnierze angielscy zabawiają się walką kogutów.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

TEATR i MUZYKA.

* Sekcya Moniuszki przy warszawskiem towarzystwie muzycznem pracowała przez trzy lata nad wydawnictwem „Widm“ (sceny liryczne z poematu Mickiewicza „ Dziady“) i obecnie szczęśliwie doprowadziła do końca wydrukowanie partytury orkiestrowej tego arcydzieła muzy wielkiego pieśniarza naszego. Koszta układu wydawnictwa znaczne, bo wyniosły z górą 2,500 rub., ale i pociecha niemała, że wspaniałe dzieło, przez szereg lat pozostające w rękopisie i wykonane rzadko, z odpisów, nie wszędzie dokładnych i kosztownych, doczekało się wydrukowania dzięki poparcia członków sekcyi i wnoszonym przez nich rocznym, niewielkim opłatom. Korektę „Widm“ prowadził prof. war. kons. Gustaw Roguski, co daje rękojmię poprawności wydawnictwa, które się składa z partytury orkiestrowej, wyciągu fortepianowego do śpiewu (z oznaczeniem i instrumentów orkiestrowych), z głosów wokalnych z deklamacyą i wreszcie z głosów orkiestrowych. Cały więc materyał nutowy „Widm“ sprzedawany po cenie do minimum obniżonej, jest już gotowy zupełnie do wykonywania przez Towarzystwa i koła muzyczne i śpiewacze, bądź na estradach koncertowch, bądź na scenach teatralnych. Dodajemy, iż wkrótce również ukończone będzie przez sekcyę wydawnictwo „Sonetów krymskich“ przez wydrukowanie partytury orkiestrowej, której korektę w tych dniach uskutecznił dyr. warsz. Lutni p. Piotr Maszyński.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**